Nr. 38. We Lwowie dnia 22. września 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

3)

Z piany Egeju.

(Baśń grecka).

— Mniejsza, zresztą, z ładunkiem“! — dodał rzeźbiarz po chwili niecierpliwie, nie pochwyciwszy ani drgnienia w twarzy dziewczyny. — Zrobisz z nią co zechcesz; - lecz przyszlij mi natychmiast potworki egipskie, bo tu już za gorąco. W chłodnym przedsionku uważniej im się przyjrzę.

— Więc nie myślisz jej nabyć? — zapytał kupiec z żywością. — W każdym razie odstawię do ciebie z podzięką ten kwiat zwarzony, by odżył w cieniu twych ogrodów. Tem bardziej, iż mam nadzieję, że przyjrzawszy się mu uważnie, nie zechcesz go z rąk wypuścić. Warta naprawdę, twojego dłuta i twoich chwil wesela i rozkoszy!

— O, na Hermesa! słaba to nadzieja! — zaśmiał się rzeźbiarz, zwróciwszy nagle ku odejściu. — Przesadzasz w kupieckiem zachwalaniu jej urody. Chciałbym tylko — dodał niedbale i ciszej, pochylając się do Charmidesa — odwzorować z tej twarzy istotnie rzadką, nieco w tył pochyloną linję czoła i nosa — i tę podłużną oprawę wspaniałych źrenic — faraonowej córy. Może mi kiedy wypadnie rzeźbić jakąś chimerę lub sfinksa... Pamiętaj, przyjacielu — dodał, odszedłszy już parę kroków i odwracając głowę do Arystarchosa — że jeśli tym razem posążki będą helleńskie, zrywam już z tobą na zawsze.

Na rozkaz Arystarcha — niewolnicy — wioślarze ujęli za cztery rogi kobierzec, na którym spoczywała Tira — i skierowawszy się ku stopniom w skale, poczęli na nie wstępować.

II.

Rzeźbiarz nie kazał wnosić jej do domu. Dywan, w którym dziewczyna kołysała się jak w kolebce, szybko niesiona przez barczystych ludzi, na znak rzeźbiarza złożono na trawie, błyszczącej dotąd rosą w cieniu chłodnym drzew i wielkich kolumn ganku. Antemijon skinął na niewolników, aby się oddalili; Tira zaś, uczuwszy pod makatą chłód miękkiej, świeżej murawy i ranną woń ziół i kwiatów, wydała okrzyk radości. Oczy jej mocno się zwarły, ramiona wyciągnęły się wzdłuż ciała — i zdało się, iż sen głęboki natychmiast pochwycił ją w objęcia, jak dobry olbrzym znękaną, słabą dziecinę.

Antemijon i Charmides, usiadłszy w ganku na ławie marmurowej, spoglądali na nią,

Niby w konsze złotej, mieniącej się w swawolne pręgi i szlaki, spoczywała przed nimi w obłoku swych warkoczy, wzburzonym przez wichry morskie. Cisza i słodycz spokoju gościły na jej twarzy, jasne — niby uśmiech dziecinny Erosa.

— Mnogie ręce zbruczą niebawem te śniegi, zgaszą te blaski — ozwał się cicho Antemijon. Odtworzyć zaś je, zakląć je w marmur — niepodobieństwo. Gdybym władał tak pędzlem jak dłutem!... Dłuto zaś wypada z dłoni wobec tych włosów złotopromiennych, tych mroków brwi i źrenic, tych zórz różanego ciała. Odarta z barw i blasków, skona i skamienieje jakby pod tchnieniem Meduzy...

— Marmur twój zawsze żyje, Antemijonie.

— Czuję, iż tego życia nie mógłbym odtworzyć z równą doskonałością i mocą, jak je stwarzałem w postaciach moich bogiń, jako pan własnej tylko wyobraźni i twórca swych tworów. Dłuto moje stało by się niewolniczem, zatem upokorzonem i niedołężnem. Wydrzeć tej wschodniej królowej przepych jej złota, djamentów i szkarłatu, zrobić z niej widmo blade Hadesu, żałące się jak zmarły pół-bóg Achilles ku życiu pastuszemu tęskniący!... Popatrzę tylko na nią, bo któż oglądał dotąd coś podobnego?... i oddam na pastwę tłumu...

— Za jeden posąg swój — miałbyś to bóstwo żywe na własność.

— Czyż mniemasz, iż posiadanie jej mię nęci? Ależ bynajmniej.

Pospolite rozkosze, gruba strawa czerni, oddawna mi obrzydły. Teraz wymagam do nich przyprawy, której dotychczas nie znajdywałem—

i pewnie nigdy nie znajdę. Tylem się razy przekonał.

— Przyprawy? z czego?

— Drobnostka! tylko z ducha mojemu siostrzanego, lub nawet z nim sprzecznego, lecz budzącego we mnie zajęcie, pociągającego głębią nieznaną. Ducha, co by na równi z nim treść życia mego stanowił. Pragnąłbym małżonki z ducha! Czyż to nie śmieszne? a w każdym razie również niemożliwe, jak i natchnienie życiem tego białego kwiatu!

Wskazał zasłonę, okrywającą Afrodytę.

Gdy mówił tak ze wzmagającem się rozdrażnieniem, powstawszy z miejsca i mierząc placyk szybkiemi krokami, Charmides wciąż jeszcze wpatrzony w niewolnicę, dostrzegł drganie jej powiek, na twarzy zaś, różowiejącej pod jego wzrokiem, jakby tajone obudzenie. A kiedy rzeźbiarz umilknął, czarne źrenice Tiry błysnęły nagle ku niemu z gęstej powłoki rzęsów i zgasły trwożnie, spotkawszy wzrok Charmidesa.

— Ilekroć spotykałem kobietę — ozwał się znowu Antemijon, stanąwszy przed swym uczniem, zbliżającą się powierzchownie do pojęć mych o wielkiem szczęściu, o rozkoszy, które kobieta dać może — dusza jej milczała zawsze wobec mej pytającej duszy, jak milczy marmur mej bogini; albo, co gorzej, krzyczała swe pospolite wynurzenia, ckliwe i nudne swe czucia. I duch mój stawał wobec nich dumny i samotny — i gardził wdziękami kobiet tych — i niemi...

Okrzykiem zdumienia zakończył te słowa. Śpiąca, zda się, głęboko niewolnica stanęła nagle przed nim z lękiem na twarzy, z ustami płonącemi od burzliwego oddechu, w peplum rozwianych warkoczy.

I popłynęła z ust jej drżących mowa błagalna i urywana, czysta i dźwięczna, jako Cyrcei, wabiącej Odysseusza.

— Zaklinam cię na wszystkie bóstwa Hellady, pozostaw mię w domu swoim, o wzniosły synu Chojrilosa!... Pozostaw mię, istotę „pospolitego ducha“ — do usług pospolitych, do ciężkiej pracy. Podołam żarnom, udźwignę wielki dzban z wodą — i nawet bryły marmurów twoich... Jak młode drzewo ogrodu twego — mocną i zdrową jestem. Niech będę w domu twoim jednym z twych barwnych sprzętów, mając nad rzeczą tę przewagę, iż na skinienie twe zniknę z twoich oczu... Wpatrujesz się miłośnie w to morze, kąpiące we dnie szmaragdy fal swych w złocie słońca, w nocy szafiry ich w srebrze księżyca... Przyglądasz się z zachwytem obłokom zarumienionym od zórz, jak wielkie róże na łące lazurowej... Pieścisz swe piękne drzewa, jak gaj najświętszy Altisu, bo one pieszczą oko twoje... Niech tak i piękność moja, piękność prawdziwa i wielka, bowiem uznana przez ciebie — będzie jednym z tych lśniących szmaragdów morskich, skrawkiem błękitu, tchnieniem kwitnącej wiosny — jednym z promyków piękna, którego słońcem dom swój przejasny rozzłociłeś — sam piękny, twórca piękności!... Żal ci „złota warkoczy moich, djamentów oczu, szkarłatu ust i zórz różanych ciała“ — żal ci je rzucić „na pastwę tłumu“, — a nawet zgasić w szlachetnym twym marmurze!... A więc, na Apollina i Afrodytę, — pozostaw je u siebie! Usta me, jeśli każesz umilkną odtąd na zawsze, aby nie zdradzić „pospolitego ducha“, aby nie wydać mowy, która wybredne ucho twoje razić by mogła!...

Wyciągnęła ku niemu błagalne dłonie — i z wielką trwogą pytała go przepastnemi swemi źrenicami. Antemijon zaś pobladły i owładnięty zdumieniem, które duszy jego przytomność a ustom odebrało wyrazy — odrzekł cicho!...

— Mów dalej, dalej!...

A wtenczas w oczach jej, pełnych lęku, zapalił się blask wielkiej radości i uśmiech dziecka figlarnego rozchylił usta. Syreniemi słowy śpiewała dalej.

— Cichym cieniem tylko po trawach twego gaju po śniegach kolumn twych białych, po kwiatach twych kobierców — będę się ślizgać... Najczystszą, najchłodniejszą wodę przyniosę ci na orzeźwienie, najdoskonalszy owoc wybierze dłoń tająca się i miękka nowej niewolnicy... z pod stóp bogiń twoich uroczych „złotem warkoczy“ moich kurz zamiotę... A jeśli usta me dotkną przypadkiem szaty twojej z czcią i podzięką — szata ci, panie, nie zaciąży od pocałunku ust tych, bo czyste są, jak kropla deszczu, zanim upadnie na ziemię. A jeśli kochasz piękno i ludzkiej pieśni natchnionej, to głos mój, nie drżący jeszcze od starości, ani krzykliwy — jako małżonki Sokratesa – na twe żądanie wyśpiewa strofy wieszczów i mędrców naszych...

Gdy tak mówiła, jaśniejąc cała od blasków uśmiechu, rzeźbiarz się cofał przed nią, jak niby ustępując przed nową mocą niepojętą. Aż gdy napotkał na drodze swojej drzewo, stanął i wsparł się o nie, — i zawsze blady, zawsze skupiony i dziwny, jak gdyby ujrzał Olimp, chylący się ku sobie, zapytał ją cichemi słowy:

— Powiedz kim jesteś, z jakiego kraju zstąpiłaś, jeżeli kraj ten kwitnie wśród krajów ziemi — i jeśli mu śmiertelni imię dali?

— Zwano mię srebrnogłosą i złotowłosą Tirą w mieście rodzinnem, Milecie — odparła wówczas z gasnącym nagle uśmiechem, ze smutkiem, rodzącym się we wzroku. Z ojczyzny mojej przyniosły mię przed chwilą na brzeg ten fale morskie... Ojca mojego nazwać ci nie mogę — wiem tylko, iż był obywatelem wolnym i hellenem. Matki mej, egipcjanki — niewolnicy, nie zachowałam w pamięci, bo odumarła mię młodo — drobną dziecinę. Więc rosłam w domu pana mej matki i pana mego, który był możnym obywatelem Miletu. Jak ptaszka barwnopiórego, szczebiocządego o świcie, pieścił wzrok pana mego, Lydiasa, małą istotkę, która narówni z ptakiem rosła i szczebiotała w ogrodach jego. A kiedy dziecię, słuchając pieśni gromotwórczych bohaterskiego Alkmana i słodkich pień Pindara, — od-

biło je w źródle duszyczki swojej i jęło je powtarzać w zachwycie nieświadomym, jak drżąca harfa Eola, zdumiło to nad wyraz Lydiasa, pana mego, i odtąd gotów był wierzyć, iż sam Apollo w chwili wesołej łaskawości zesłał mu na zabawę to dziecię o barwach kwiatu, o głosie ptaka, o strunach duszy, harfianym strunom podobnych. I zabawiał się dzieckiem tem Lydias; kładł mu lutnię do drobnych dłoni, kazał mu śpiewać pieśni swe ulubione i słuchał brzmienia jambów poważnych w śmiesznych dziecięcych usteczkach. A gdy wzrastało i dojrzewało z dniem każdym, kazał mu sobie czytywać księgi wsławionych mędrców Hellady. Zabawa owa stała się słabością, a słabość zastąpiła potem najczulsza miłość ojcowska. I tak wzrastałam i rozkwitałam w słonecznem cieple miłości. Słynni pieśniarze i wieszcze uczyli mię cudownych pieśni i strof natchnionych, goszcząc w wytwornym domu mego pana. Wkrótce też potem poczęto przybywać nawet zdaleka — by słyszeć „syrenę z Miletu“, tak zwano Tirę — niewolnicę. I tyle pieśni wieszczów, i tyle myśli mędrców weszło do duszy mojej, iż roziskrzyła się od nich cała, jasna jak niebo o gwiazdach niezliczonych.

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Szkoła Sztuk pięknych.

W niefortunnej chwili, bo w czasie powszechnego zajęcia umysłów przez głośne echa minionych wyborów, zabieram głos, aby zwrócić choć trochę uwagi na wypadek doniosłego dla kraju znaczenia, na żywy objaw sił, drzemiących w narodzie niewolnym.

Oto w Krakowie z dniem 1. października b. r. zostanie otwarta Szkoła Sztuk pięknych i przemysłu artystycznego dla kobiet. Otworzą ją i będą pracowali własnemi siłami artyści: Jan Bukowski, Włodzimierz Tetmajer.

Głównym celem Szkoły: wyrugowanie przemysłu obcego i zastąpienie go swojskim, artystycznym, wyprowadzonym z motywów ludowych.

Jakże wszechwładnie w miejskich domach rozpanoszyła się tandeta niemiecka! Gdzie okiem rzucić, wszędzie się rozpiera. Ani jednego kąta dla wypoczynku znużonych oczu. Wszędzie szablon ohydny, okropieństwo smaku. I za to ludzie dobrowolnie płacą. Rujnują się na liche niemieckie wyroby. Bo, żeby te przynajmniej miały cechę sztuki... ale nie — ordynarne, jarmarczne roboty, któremi nas zalewają spekulanci szwabscy, licząc na barbarję umysłową u nas. I nie zawodzą się w rachubie. Polak wszystko kupi, co się zaśkli, zabłyskocze i taniością zwabi. A taniość to pozorna, jak się okazuje w zestawieniu z wartością prawdziwego dzieła sztuki. Pieniężna arystokracja sprowadza wprost z zagranicy potrzebne wyroby, mniej zamożne mieszczaństwo naśladuje tamtą w urządzaniu domów swoich, kupując meble w składach, które znowu naśladują zagraniczne wzory, jeżeli nie są filjami wiedeńskich przedsiębiorstw. I tak to przemysł polski kwitnie. Taki pan Meier, obywatel wiedeński z przedmieścia, czułby się tak w mieszczańskim domu u nas, jak u siebie. Te same kanapy, łóżka, dywany, obicia... Znalazłby nawet secesję, której się w Wiedniu każdy opatrzył, a która u nas „nowością“ pociąga. Dość, że do dziś dnia nasze społeczeństwo małpuje liche zagraniczne wzory, nie umiejąc widzieć piękna w niedalekich, swoich.

Gdzież są te wzory swojskie? Gdzież to ich bogactwo, któreby mogło zastąpić rozmaitość obcych? — Są — naprzód w chałupie chłopskiej... Tak, moi panowie. Szlachta nie miała czasu myśleć o przemyśle, mieszczanin był zajęty przemysłem praktycznym, a chłop się w wolnych chwilach od poddaństwa bawił... Dłubał se powolnym czasem, robił stoły, stołki, malował skrzynie, szafy, ozdabiał komody... I tak wydłubał polską sztukę stosowaną. A jakie jej bogactwo, dość jeno powiedzieć, że jednemi ozdobami skrzyń, rozprowadzając motywy, można odmalować kościół i pięć kaplic przy nim!... Następnie mamy wzorów dość na łąkach naszych. Całe bogactwo kwiatów, powikłanych liści. Wyspiański już pokazał ich piękno prawdziwe.

Te motywy i wzory myślą wprowadzić artyści-inicjatorzy do wszystkich działów artystycznego przemysłu i uczynić przemysł ten prawdziwie swojskim, zasługującym rzeczywiście na nazwę Sztuki pięknej.

Cel wspaniały, zrodzony z ukochania piękna i z mądrego a szczerego patrjotyzmu.

Jak na wszelki obyczaj u nas wpływa kultura europejska, tak i w urządzaniu zewnętrznem życia pomocną jest naszemu inteligentowi i prawie że jedyną jego doradczynią. Ale to nie kultura! Ta, która w Anglji otwiera dom Ruskina, wychowuje dzieci, rozwijając ich duszę przez piękno, zrozumiałe ich wyobraźni młodej,

która w Niemczech prowadzi chłopów przed arcydzieła boeklinowskie i pokazuje im najwyższe szczyty ducha ludzkiego... Nie! To osad kultury! Mętny i brudny zlew, który przez wiedeńskie rynsztoki ku nam płynie.

Ohyda nas otacza zewsząd. Cała orgia paskudztw święci sabat sprośny. A my jeszcze po ścianach wieszamy brzydoty, które wstrętem napełniają oczy nie doznaku ślepe. Przyjdzie chyba do tego, że dusze, wrażliwsze na piękno, pomrą, potrują się od wyziewów, poduszą się w tym ciasnym, zatęchłym budynku, jaki dziś społeczeństwo z mozołem wystawia. Ostanie ino Barnum-Bajley i jego wielkie pokolenie. Dziś jeszcze można uciec od większych środowisk, ale ci, co muszą w niem pozostać, piekło przechodzą prawdziwe. Rzucają się, jak pstrągi w siatce, póki im tchu starczy. A nie zgrzeszę, jeżeli powiem, że w wielkiej mierze do zdenerwowania dzisiejszego człowieka przyczynia się dom — sam dom, bez ludzi. Wstaje rano, miał sen piękny, mógłby choć do śniadania mieć pogodną twarz. Ale spojrzał na ściany — na ohydny szablon — i w oczach strzeliły już błyski... „Nie! w takim kojcu żyć...“ Niejedna mama nie wie, ani nie przypuszcza, że odstraszyła konkurenta — meblami... tak, krwawo zapłaconymi meblami.

Życie nie jest radością (o, zaiste!), ale można je uprzyjemnić pięknem. Gdzie go szukać? Przyroda posiada dla oka człowieczego istotę piękna. Kto nie może żyć z przyrodą, powinien się otoczyć przynajmniej jej wyobrażeniem. A zaś wyobrażeniem przyrody jest Sztuka prawdziwa. Jest ona oknem na dolinę szczęścia, którą wymarzył w smutku duch artysty. Jak miło oczom wytchnąć na przedmiocie pięknym! Niech to będzie nawet szafa. A takiego wytchnienia potrzebuje człowiek zwłaszcza żyjący w mieście, który nie może przez okno popatrzeć na ubocz leśną, ba chyba na mur zczerniały przeciwległych domów, ozdobiony gzymsami niemieckich koszar. Milszym jest oku widok swojskich chałup, niż obcych hoteli z banią. Milszym też sto razy widok polskiego ścierniska, niż naddunajskich łąk. Stąd przemysł swojski, choćby dużo prostszy, będzie dla oka milszym, niż pozagraniczny. A będzie miał to, niezależnie od wrażeń swojszczyzny, czego tamtemu nie staje, mianowicie: Sztukę prawdziwą i piękno.

Każdy więc Polak, co się do inteligencji przyznaje, już choćby nie z patrjotyzmu, do którego apeluje i szwab zwożący towar, ale dla własnego dobra i pożytku powinien odtąd, o ile sił, zamawiać wytwory przemysłu artystycznego w Szkole Sztuk pięknych Bukowskiego lub nabywać je wprost od Komitetu, który się ma zajmować ich wystawą w salach Muzeum Narodowego. Niedługiego czasu trzeba, aby się „polskie domy“ zamieniły w prawdziwie polskie. Tylko energji trochę wlać w „gorące chęci“, a wszystko będzie dobrze.

W końcu dla objaśnienia interesowanych: Celem Szkoły będzie także ułatwianie środków do życia przez fachową naukę, pośredniczenie w sprzedaży wyrabianych przez uczenice przedmiotów na korzyść tychże uczenic. Szkoła dzieli się na dwie części: *a)* Szkołę Sztuk pięknych, obejmującą naukę rysunku i malarstwa i *b)* Szkołę przemysłu artystycznego. Nauka trwa przez cały dzień, tj. trzy godziny rano i dwie popołudniu, prócz tego w zimie rysunki wieczorne. Szkoła przyjmuje uczenice, które w Szkole Sztuk pięknych będą się uczyć ogólnych zasad rysunku, a w drugim dziale zastosowania tej umiejętności do przemysłu artystycznego. Szkoła przemysłu obejmować będzie: Inkrustacje (wykładanie) w drzewie, fornirowanie w blasze i masie perłowej, (zastosowanie tegoż n. p. do mebli), witraż (naukę komponowania i malowania na szkle), litografję artystyczną (naukę nowych technik, malowania i rysowania wprost z natury na kamieniu litograficznym), haft (naukę wszystkich technik haftu i komponowania), malowanie emalją, malowanie na porcelanie, wyroby w blasze, wypalanie w drzewie, skórze i polerowanie, malowanie materji (Batiks), drzeworyt, wyrób papierów wzorzystych, malowanie dekoracyjne i t. d. Prócz wymienionych przedmiotów Szkoła uczyć będzie robienia i komponowania winiet, etykiet, inicjałów, ozdób książek, kart tytułowych, kart pocztowych i t. p. przedmiotów, zastosowanych do codziennego użytku. Prócz tego odbywać się będą wykłady teorji z anatomji, stylów i t. d. Opłata szkolna wynosi za cały dzień miesięcznie 30 koron, za pół dnia 20 koron. Wpisy odbywają się począwszy od 1. września w lokalu Szkoły przy ul. Jabłowskiego l. 22. w Krakowie.

Szanowne panie, które się nudzicie, czekając na mężów i uzupełniacie „edukację“ swoją romansami... Szkoła otwarta!

Władysław Orkan.

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

10) wydal

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

Zostawiono ich bezbronnych, a powstańcy poszli do nadleśniczego w sąsiedztwie koszar, a od Chochołowa $^{3}/_{4}$ mili. — Tu wszedł tylko ksiądz z organistą; chłopom nie dali wchodzić, — bo się bali, by się który nie chwycił do nadleśniczego, na którego złość mieli z powodu lasowych zdzierstw, a że sobie z organistą byli kmotrami, pięknie wyłożywszy mu powód powstania orga-

nista zabrał strzelby i formę do lania kul, zapewniwszy go, że mu to będzie zapłacone, tylko że teraz potrzebujemy. [Nadleśniczy rodem z Morawy, z nazwiska Sochor].

Gdy to w Witowie się dzieje, góral jeden z rozkazu organisty wpada do leśniczego w Kościeliskach — (½ mili od leśniczówki w Witowie — w górę pod Tatry) i powiada: „Panie! — wojna; strzelby trza dać!“ – Ten zdziwiony patrzy — czy góral oszalały, a góral zdjął z kołka podobno 3 strzelby i poszedł z Bogiem; drugi góral stał pod oknem. —

Odpocząwszy u nadleśniczego, — powrócili do domu, a Witowianie zostali w swoich chałupach, jednakże im rozkazano: „jutro do kościoła — kto żywy!“ — Tak się odbyło rozbrojenie, wszędzie jak najgrzeczniej, bez hałasu, bez pokrzywdzenia pojedynczych osób. —

Przybywszy do domu, organista z wziętych na cle pogranicznem pieniędzy — wypłacił dziennie po pół dwacatnika (t. j. po 10 kr. m. c.) chłopom; na następny dzień [22.] dał parę reńskich — aby przynieśli wina (bo gorzałki nie pili) i pokrzepili się trochę, co uczyniwszy rozeszli się z nakazem, aby byli gotowymi. — Wkrótce świtało. —

Organista spocząwszy trochę, nad świtaniem (ksiądz więcej spoczywał, bo powróciwszy z Witowa poszedł zaraz spać) idzie rano do proboszcza i mówi: „Księże proboszczu! — powstanie“. — „Co pan mówisz?“ — odrzekł tenże. — „Tak jest. Strażnicy rozbrojeni, na komorze pieniądze wzięte“. — „A kiedy?“ — pyta pleban. — „Wczoraj wieczór“ — odrzekł Andrusikiewicz, — „ale (mówi dalej) nie radziłbym księdzu proboszczowi sprzeciwiać się temu, bo za siebie nie ręczę i mogłyby wypaść złe skutki dla jego osoby“. —

Około godziny 10. z rana w niedzielę (22.) jechał żyd z Czorsztyna; pyta się go organista: „Skąd jedzie? co słychać?“ – Żyd na to: „Wszędzie cicho, spokojnie, tylko na dole chłopi mordują i rabują“ — (w Tarnowskiem i Bocheńskiem). — Zwątlał na sercu na taką wieść organista, nic nie mówi, — aby jemu nie osłabić ducha. – Jednakże cofnąć nie można — co się już ruszyło; trza dalej. —

Osłabiony znużeniem, niewyspaniem, radością upojony, zdał się organista księdzu upitym, co mu za złe bierze; ale na tem się tylko skończyło, że organista mu powiedział, – że się myli. —

Przekupnie soli i podrostki z wolnym tytoniem i z tańszą solą z Orawy przyniesioną (po 2 kr. m. c. funt) spieszą na rynek, aby po skończonem nabożeństwie sprzedać. — Nabożeństwo odprawił ks. Kmietowicz najuroczyściej — z wystawieniem świętości; nieszpór zaraz po sumie; poświęcił broń odebraną, a mową – którą miał — tak lud rozrzewnił, że płakał jak bobry; przedstawił o co chodzi, zachęcił, błagał pomocy i błogosławieństwa Niebios, nareszcie zalecał, aby każdy miał ze dwa moskale (placki owsiane w torbie, kierpce nowe; na przypadek zdarcia onychże łaty i dratwy, — dobre cuchy, (gunie) i serdak (na kształt kamizelki z baraniej skóry) pod cuchą, bo się w dalszą drogę trza będzie wybrać, t. j. ku Wadowicom. —

Po skończonem nabożeństwie zaczęli chłopi w Chochołowie kosy klepać, a kowal piętki w tychże prostować. – Z innych wsi, jako to z Witowa, z Cichego i z Dzianisza pobiegła dziatwa do domu to samo robić, co i w Chochołowie, t. j. wybierać się na wojnę; ale nie wszyscy mogli się zgromadzić tak łatwo, jak Chochołowianie, bo dalej, drudzy trochę bliżej mieli do domu; byli tacy, co milę drogi po nabożeństwie (około 2-giej godziny po południu) musieli przebyć, na placek kobieta w piecu zapalić, upiec go musiała, przystroić się w dobre obuwie (kierpce) i odzienie (cucha) musieli; — zatem nie mogli zaraz z wieczora stanąć w Chochołowie, przy tem — że wielkie śniegi upadły. — Gotowi Chochołowianie i bliżsi Chochołowa już przed wieczorem byli.

Zgromadzili się w domu naprzeciw wikarówki i czekali więcej towarzyszów. — Ksiądz i organista nie zaniedbali im wyłuszczyć obszerniej. — Pierwszy, — czy że go jakaś mała bojaźliwość opanowała, czy też innemi słusznemi przyczynami powodowany, — do zgromadzonych Podhalan w liczbie do 300 — ze trzy, — czy cztery razy powtarzał, — że on nie przymusza, każdy dobrowolnie niech idzie (zapewne sumienie lękliwe, aby mu nie wyrzucało, — że był powodem klęsk, które może przeczuwał, tak mu postąpić kazało).

Organista radził pochód ku Czarnemu Dunajcowi (1 milę). — Żony mężów, — matki — synów, siostry — braci żegnały i błogosławiły (szczęściły). — Pewna żona, żegnając męża, — o którym Andrusikiewicz powiedział: „Byłby to drugi Bartosz“, — całowała go po rękach mówiąc: „Idź mój Wojtasku, — a trzymaj się dobze!“ Gdy stanęło na tem, aby przed świtem ruszyć, — ci którzy mieli bliżej do domu — porozchodzili się jeszcze do swoich, a Kmietowicz poszedł się położyć, jako też i organista, postawiwszy czaty na końcu wsi. — W miejscu zgromadzenia było kilkudziesiąt (może 60 do 70 ludzi).

Lecz wkrótce dał się słyszeć krzyk i uderzono w dzwony. —

Dowiedziawszy się o wczorajszych wypadkach w Chochołowie, Suchej Górze i Witowie nadkomisarz finansowy Molitoris w Nowym Targu (3 mile od Chochołowa) pozbierał strzelców ze Załucznego, Czarnego Dunajca i Podczerwiennego, a Kulczycki mandatarjusz w Czarnym Dunajcu wpadłszy do kościoła (przed — czy podczas nabożeństwa? — lecz ludzi pełno było) zawołał głosem donośnym: — „Urlopnicy! wychodźcie z kościoła, bo Chochołowianie idą na Dunajec rabować, palić,... już i komorę w Suchej Górze zrabowali, a ksiądz

i organista na czele“. — Przestrach pomiędzy lud się wcisnął. — Tak więc nadkomisarz Molitoris posłał komisarza Fiutowskiego na czele przeszło 20 strzelców, a Kulczycki na czele kupy Czarno-Dunajczan, Podczerwieńczan i urlopników, którzy wieczora umyślnie czekali, aby Chochołowian (jak sądzili) na śpiączce zastać.

Kiedy nadciągnęli do Chochołowa, czaty dają znać, oni tuż za czatami, bo noc była ciemna, choć oko wykol. — Na powstały krzyk — wybiega ks. Kmietowicz, który jeszcze nie spał — w koszuli tylko płaszcz zarzuciwszy na siebie; idzie naprzód, organista biegnie do chłopów, którzy już wyszli byli z domu, — bo nie spali, szykuje ich i prowadzi. — Kmietowicza pytają: „Kto tam?“... — „Ja, ksiądz“. — „Pal do niego!“... On się trochę zwrócił, a strzał wpadł mu do prawej ręki, niżej ramienia i kawałki sukna z płaszcza wcisnął z sobą do ciała. — Gdyby się był nie zwrócił, byłby w piersi dostał; chyla się po pistolet, bo mu z ręki był wypadł, drugi strzał kaleczy mu palce; a tak musiał wszystkiego zaniechać i pójść do najbliższej chałupy, gdzie mu zawiązano ranę; trzeci strzał, wymierzony na niego — trafił woźnicę, który był przyjechał z komisarzem Fiutowskim. —

Gdy się to dzieje, przychodzi organista ze swoimi i spotykają się przy organistówce, o 6 może kroków od (nieczytelne), idą na bagnety i kosy, dowodzi Andrusikiewicz; z dwururką na plecach, a pałaszem w ręku idzie na Fiutowskiego; ścierają się tak mocno, że za trzema lub czterema cięciami padają obaj na ziemię; strzelcy to zobaczywszy — w nogi, a Czarno-Dunajczanie jeszcze pierwej. — Byli między nimi dobrzy ludzie, i w ostatku Kulczyckiemu nie we wszystkiem wierzyli, — wyjąwszy kilku. —

Oczyściwszy plac boju, zaczęli się Chochołowianie mścić na poległych, a gdy ich dusili, organista ocknięty uderzeniami — woła: „Stójcie! — bo to ja“... — A wnet krzyki: „Nie bij, — bo to organista“ — dały się słyszeć. —

Pewien — gdy siedział na komisarzu, kulka — za poruszeniem przypadkiem cyngla u strzelby — przeszyła mu kolano; na drugi dzień umarł. I drugi z naszych padł, mało żywy i wkrótce skończył, a z ich strony także poległ strażnik od chochołowskiej kulki, a ze dwóch naszych po łydkach śrutami dostało; zdaje się — że mało było kulami nabitych nieprzyjacielskich karabinów i z naszych może parę. —

Przyszedłszy do siebie organista, kazał przynieść latarnie, komisarza zanieść do swego pomieszkania, trupów sprzątać, rannych zaopatrzeć. —

Fiutowski miał głębszą ranę jedną; — organista jednę płytszą niż tamten, drugą mało znaczącą, obadwa od pałaszów, oba w głowę ranni; prócz tego organista bagnetem pchnięty — gdy już leżał na ziemi — w brzuch, ale tak szczęśliwie, że bagnet trafiwszy na rzemień od pałasza, szeroki na cal, — zatrzymał się na nim i tylko skórę na brzuchu przebił, nie naruszywszy kiszek, coby się było nieomylnie stało, gdyby nie był dosyć dobrej tuszy. — Mając jeńca u siebie, obszedł się jak z przyjacielem i rodakiem, w którym jeszcze nie do czysta widział wygasłą miłość Ojczyzny; jak ludzkość kazała opatrzył i kaza obwiązać mu rany, ustąpił mu łóżka; sam — więcej ran odniósłszy na ławie się kładzie. Ażeby się nie podać w podejrzenie u górali — przyrzekł im nie mówić z nim po niemiecku, tylko po naszemu, dla czego i straż u siebie zostawił; a gdy się komisarz coś był po niemiecku odezwał, chciał go na straży będący góral bić, lecz organista poskoczył, chwycił pod gardło i odtrącił go rzekłszy: „Bić się — na wojnie, ale nie — rannego na pościeli“. —

(C. d. n.)

Z SZARYCH DNI.

Wiatr po zwiędłych ugorach złośliwie szeleści,
Zagonów wyciągnięte długie struny targa
I dobywa z nich akord... Akord ten, ta skarga
Niw, z tęsknotą się zlewa w jedną pieśń boleści...

W kniejach, kędy się echo zaczajone mieści
Hymnów niedokończonych przez boskich pieśniarzy —
Cisza... Bór na coś czeka... czeka... Coś się waży...
Jakieś wielkie i straszne nadejść mają wieści...

Wszystko, wszystko od trawki mizernej w naturze,
Od robaczka skrytego w mchu, aż do człowieka —
Skarży się, płacze... tęskni.. na coś czeka... czeka...

I ja czekam... Choć w myśli jasną przyszłość wróżę,
Choć z duszy mojej snuję marzeń barwną przędzę —
Wiem jednak, że na jedną czekam tylko — nędzę...

Kazimierz Króliński.

12)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Nie było innej rady, jak wydostać rzeczy nasze z pod mniszek, ażeby one do reszty ich nie zgniotły. Ja sam usiadłem na koźle obok woźnicy. Godlewski wyciągnął nogi po nad półmartwemi służebnicami Bożemi i w taki sposób dowlekliśmy się do następnej stacji; tu wypakowaliśmy nasze rzeczy na nową brykę. Mniszki zaś nie dawały się rozbudzić. Gdyśmy zrobili uwagę, że zawia-

dowca stacji niegodnie nas oszukał, i że mniszki są pijaczki, pisarz pocztowy czuł się w obowiązku stanąć w obronie zawiadowcy i mniszek, oświadczając, że one ze zmęczenia tylko i z niewyspania są tak osłabione, dalej powiadał, że one nie używają innego trunku, jak wino cerkiewne, „które nie upaja nigdy, bo jest święte“.

Czy wiara dzisiejsza w siłę natchnienia, sprawianą przez wino cerkiewne jest szczerą, czy też tylko obłudną, mniejsza o to, w każdym razie świadczy, że w czasach panowania wiary naiwnej wieków ubiegłych, była ona powszechną i bardzo silną, skoro przetrwać mogła jako przeżytek, aż do chwili obecnej.

IV. Byłem pewnego razu wezwany do chorego „Szamana“, który po odbytym akcie szamaństwa mocno zaniemógł, z oznakami silnej choleryny. Gdym przybył prawie w pół doby po zasłabnięciu Szamana do jurty burjackiej, położonej w dolinie Alenguja, w krainie Zabajkalskiej, zastałem chorego już przytomnego. Gospodarz jurty, rozsądny człowiek i dobry obserwator oświadczył mi, że choroba była prawdopodobnie spowodowana tą okolicznością, że szaman za wiele wypił wódki przed obrzędem i wskutek tego połknąć musiał niechcący „prymkę“, czyli zwitek tytoniu, który zwykł trzymać za zębami, jak to czynią ci, co „żują prymkę“. Zapytałem następnie Burjata, czy wszyscy szamani używają trunków przed obrzędem szamaństwa. Tak, odpowiedział Burjata, oni teraz piją wszyscy, dawniej było inaczej, szamani używali jakichś ziół dla wywoływania natchnienia, dzisiaj zioła zastąpione zostały przez wódkę. I rzeczywiście, oddech chorego miał jeszcze wtedy gdym go opatrywał silną woń alkoholu.

Często się czyta, że „szał szamański“ wywoływany bywa samosuggestją jedynie, bez zażycia środków upajających. Obserwacje moje jednak wykazały, że tak nie jest. To samo obserwowałem i z kapłanami innymi. Nawet tak zwani kaznodzieje wymowni, elokwentni, gdy gromią w świątyni niewiarę, zepsucie obyczajów etc. czynią to nieraz przy pomocy środków upajających, one im użyczają tego polotu fantazji, tego żaru słowa, które tak zachwycają słuchaczów pobożnych.

Wracając z Kamczatki bawiłem we Władywostoku, oczekując na parostatek. W tę porę miewał tam co niedziela kazanie w cerkwi, wielce elokwentny pop. Uwziął się on był na wyższe klasy społeczeństwa, wyrzucał im niewiarę, brak pobożności, nieprzestrzeganie postów, nieuczęszczanie do cerkwi, słuchanie bez uwagi nauk świętych etc. etc. Chcąc się dowiedzieć o źródle tej wymowy niezwykłej, podszedłem do ucałowania Ewangelji i przekonałem się, że i w tym wypadku źródło nie było inne, jak zwykle. Wszyscy misjonarze, com widział na Syberji, dodają sobie ognia misyjnego za pośrednictwem trunków wyskokowych.

Stan przywidzeń, marzeń, złudzeń, zapomnienia trosk życiowych, stan jak go nazwać można „Nirwany alkoholicznej“, jest tak ponętny, że człowiek raz go zakosztowawszy, nabiera pragnienia wracać do niego jak najczęściej.

Nie każdy pijany, jak i nie każdy śpiący, pamięta treść swoich snów i marzeń, ale ci co ją pamiętają opisują, szczególniej w początkach alkoholizmu, jako wielce przyjemną. Przyczyny powyżej przytoczone nie dają się jednak zastosować do wszystkich wypadków pijaństwa nałogowego, są inne jeszcze; z pomiędzy nich najważniejszą jest znajdywanie ulgi w cierpieniach i sprowadzanie snu w czasie bezsenności chorobliwej.

Miałem w mej praktyce dziecko kilkoletnie, zrodzone z rodziców syfilistycznych i samo chore na syphilis dziedziczny. Wycieńczenie niezmierne, rany na ciele i inne cierpienia sprawiały, że sen odbiegł od jego powiek całkowicie. Matka nieszczęśliwa, mając ciągłe zajęcie przy gospodarce domowej i chcąc ulżyć cierpieniom dziecka, poiła wódką, ażeby je uśpić. Dziecię, nad wyraz nędzne, wyciągało rączki drżące do podawanego kieliszka i z namiętnością alkoholika pochłaniało trunek, nawet zbolałemi ustami swemi. Tutaj nie przyjemność marzeń, lecz tylko pragnienie instynktowe ukojenia bolów, sprowadzenia snu, stało się powodem do wytworzenia popędu alkoholicznego.

Alkoholicy nałogowi, używający trunków długo i w wielkiej ilości, miewają niekiedy widzenia nieprzyjemne i przestraszające, rzucają się oni rozgniewani na upiory swej fantazji, jak Luter np. który ciskał kałamarzem w łeb djabła, albo też uciekają przelęknieni i chowają się po kątach. Rosjanie nazywają taki stan widzeń trwożnych „spiciem się aż do czortików“, bywa on jednak rzadki, i jest symptomatem opilstwa chronicznego, ale w tych wypadkach i widzenia najstraszniejsze nie zmniejszają już namiętności alkoholików, którym też w tę porę żadne środki lecznicze nie pomagają. Bo gdzie wola człowieka jest zatrutą, albo obumarłą, tam śmierć już tylko jest jedynem lekarstwem dla chorego.

Ludy pierwotne i ludzie, nie umiejący trzymać na wodzy swoich popędów zwierzęcych, gotowi są opłacać możność upicia się całem mieniem swojem. Znałem tubylców na Syberji, którzy za butelkę spirytusu sprzedawali wynik całorocznej swej pracy i gotowi byli następnie rok cały pracować ciężko po to tylko, ażeby zarobić znowu na butelkę spirytusu. Miałem felczera „Grygorjewa starszego“ na Kamczatce, który za to, że mu pozwolono umoczyć palec w kieliszku ze spirytusem, ażeby go oblizać następnie, płacił kupcowi skórami gronostajów, a za kieliszek spirytusu dawał skórkę sobola.

Używaniu trunków alkoholicznych i szerzeniu się nałogu pijaństwa, postępującego od panujących, od możnowładnych, od kapłanów do klas ubogich, nie stały na przeszkodzie żadne fakty, poznane i udowodnione, a świadczące o szkodliwości napojów wyskokowych dla orga-

nizmu. Patrzono wprawdzie na skutki, ale ich przyczyn szukano gdzie indziej, nie w alkoholu. Bo jeżeli Grecy wzbraniali używania wina, to tylko ze względu na etykę, na moralność, że zaś z drugiej strony nie dopuszczano tu i ówdzie kobiet do uczt alkoholicznych, czyniono to z racji ich podrzędnego stanowiska w społeczeństwach ówczesnych. Ale prawie powszechne było przekonanie, że wina działają dodatnio na organizm, a zarazem sądzono, że jeżeli się kto upije, to już sen, następujący w ślad za tym aktem, znosi doszczętnie wszystkie ślady pijaństwa. Rosjanie pocieszają się zdaniem przysłowiowem, że „Pijanica praspitsa“ i dodają „durak nikahda“, oni nie podejrzewają, że nawet najzdolniejszy człowiek, stawszy się alkoholikiem schodzi powoli na poziom największego z „duraków“, którego określają sami mianem „krugom durak“.

Nawet satyryk nasz, gdy kreślił satyrę „Pijaństwa“ nie był głęboko przekonany o strasznych skutkach alkoholu na organizm pijącego, to też rozpatruje on głównie działalność napojów wyskokowych odnośnie do moralnej strony człowieka, więc dotyka tylko ogólnikowo strony fizycznej, mówiąc o niezdrowiu, sprawianem przez nadmierne użycie trunków*). Ustęp z rzeczonej satyry przytaczam w odsyłaczu.

Krasicki gani tylko nadmierne używanie trunków, za umiarkowanem spożywaniem był on sam w ową porę i byli wszyscy inni bez wyjątku albowiem:

Miód dobry, myślom żywości udziela,
Wino, strapione serce rozwesela.

Z dobrą tedy reputacją nieszkodliwości, a nadto opromienione aureolą hymnów pochwalnych i od poetycznych — stanęły napoje wyskokowe u wrót najnowszej ery cywilizacyjnej społeczeństw ludzkich.

*) „Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
„Cóż w niem! tylko niezdrowie, zwady, grubjaństwo,
„Oto profit: nudności i guzy, i plastry.
„— Dobrze mówisz, podłej to zabawa hałastry:
„Brzydzi się nim człek prawy, jako rzeczą sprosną;
„Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
„Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
„Zdrowie się nadweręża i ukraca życie.
„Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku,
„Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
„Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje,
„I w kontr naturze postać bydlęcą przywdzieje.
„Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało,
„Na to, aby użyciem swojem orzeźwiało,
„Użycie darów Bożych powinno być w mierze,
„Zawstydza pijanicę nierozumne zwierze:
„Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszą,
„Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,
„Nie biorą nad potrzebę. Człek co niemi gardzi,
„Gorzej od nich gdy działa, podlejszy tem bardziej,
„Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni,
„Większej kary, obelgi takowi są godni,
„Co w dzikiem zaślepieniu występni i zdrożni,
„Rozum, który człowieka od bydlęcia różni
„Śmią, za lada przyczyną, przytępiać lub tracić,
„Jaki zysk, taką szkodę potrafi zapłacić?
»Jaka korzyść, tak wielką utratę nagrodzi?
„Zła to radość, mój bracie! po której żal chodzi“.

Urywek z Satyry VI. Pijaństwo Ignacego Krasickiego. —

Satyryczne uwagi nad historycznym przebiegiem alkoholizmu u nas warte także zaznaczenia.

Z miodu się pierwszy Piast xiąże wylega,
Za nim syn idzie odważny i chciwy,
Toż dalsi, jedni śmieli i potężni,
Drudzy rozpustni, gniewni, niedołężni.
Trunkiem się wszelkie dusze upodlały:
Leszków i Mieszków on na złe przemienił.
Bolesław z męstwa okrzykniony śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił;
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił.
Kazimierz wielki, a przecie kwaterką,
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.
Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po rynku.
Stefan! ów Stefan! działami wsławiony
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku
I nasz Władysław słusznie uwielbiony,
Przecież pedogry dostał w upominku,
Zawżdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę, do reszty rozpoił.

Urywek z poematu Myszeis
Ignacego Krasickiego.

Nasi królowie i sławni wojownicy nie stanowili jakiegoś wyjątku w dobach przeszłości dziejowej, wszyscy królowie, ich ministrowie, ich wojsko, pili potężnie. Mnisi, kapłani etc. nie pozostawali w tyle poza nimi i pili bez miary. *Dr Benedykt Dybowski.*

(C. d. n.)

Z pism i książek.

Andrzej Niemojewski, Polonia irredenta. Kraków 1901.

We wszystkiem co pisał Niemojewski przebija się dusza głęboko przejęta ideą społeczną. Natchnienie swoje czerpie przeważnie ze społecznych kontrastów, jakiemi życie jest gęsto porysowane. W małym tym zbiorku wierszy zeszedł do świata kopalń i mrowiących się tam istnień ludzkich omroczonych podwójnym tragizmem: niebezpieczeństw zdradliwej przyrody i swej własnej ciężkiej doli. Sięgnął do tego samego źródła, z którego czerpał Meunier w rzeźbie. Zaskrzepłe w swej grozie poszczególne chwile wydarte ze świata podziemi, nie mają w tych wierszach tyle plastyki by należycie mogły oddziaływać na czytelnika, natomiast silniej i wyraziściej są już wydobyte dźwięki rozpacznej wesołości przygłuszonej ołowianą, posępną dolą. Wymienię tu choćby jeden bardzo szczery i dobry wiersz: „Branka“. P. N jako poeta ma prócz zalet językowych jeden wielki i ważny przymiot: szczerość.

ł.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5